



Maly przeгляд

piśmo dzieci i młodzieży

wychodki co piątek rano z korespondencje i material kierow... nalezy do redakcji „matego przekladu” nowolipki 7

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY DO NR. 21 (8352) NASZEGO PRZEGLĄDU

W DZIEŃ ZIMOWY DŁUGIE NOCE—DZIWNY SNY

Pani wychowawczyni zadziła nam dzisiaj, żebyśmy w miarę możliwości uprawiali sporty zimą, zwłaszcza łyżwiarstwo. Więc umówiliśmy się, że po lekcjach spotkamy się w Cielętniku.

Nie jestem punktualny, spóźniłem się, jak zwykle o 10 minut. Na ławeczce siedział już Leon z Motkiem.

— A gdzie Maks? — zapytałem.

— Pewnie obiad je. Rozmawialiśmy o tym i owym — zapomniawszy o Maksie. Pierwszy zauważył go Leon.

— O, już idzie. Ale patrzcie, co on niesie?

— To łyżwy — zawołał Motek. — Przecież mówił, że świetnie jeździ. Ano — zobaczymy. Zobaczymy, czy zjedzie z Zamkowej.

Poszliśmy na Górę Zamkową: Maks i Leon z łyżwami w ręku, ja i Motek z sankami. Ścieżka była stroma i śliska, wspinaliśmy się powoli, ciągnąc za sobą ciężkie sanki.

Ale widok z góry wart był trudu. Zobaczyliśmy na dole całe Wilno.

— Och, jakież ono ładne — szepnął w zachwycie Maks. Który niedawno przyjechał z Łotwy.

— Ba, odrzekł z dumą Motek — niedarmo nasze miasto słynie z piękności. Musisz, Maksio, wiedzieć, że o pięknie Wilna rozpisuje się nawet prasa zagraniczna.

— Dość gadania, chłopcy — zawołał Leon. — Jazda!

Ustawiliśmy się w dwie pary: Maks z Leonem na łyżwach, ja z Motkiem na sankach.

Pierwszy zjazd udał się doskonale. Sanki leciały w dół, jak w przeпад.

Idziemy znów pod górę. Nagle Maks wykrzykuje:

— Fajny dzień, dobra droga — zrobmy wysięgi!

Oczywiście przyjeśliśmy to z chóralnym okrzykiem indjan z nad Wielkich Jezior.

— Maks i Leon ruszą prosto stąd — rozkazał Motek — a my okraźmy górę. Czy jesteście gotowi?

— Gotowi!

— Uwaga! Raz... dwa... trzy Zerwaliśmy się, jak ptaki do lotu. Wiatr świszczał w uszach, migwały osnieżone krzaki, sanki podskakiwały na wybojach i wtedy serce także gotowe było wyskoczyć — trochę ze strachu, a więcej z rozkoszy.

— Dobrze było — powiedział na dole Motek. — Ale czemu ich nie widać? Powinni już tu być.

— Zaczekajmy. Pewnie zaraz przyjadą.

Czekamy pięć minut, dziesięć... Nie ma ich.

— A może oni się schowali? Może zmówili się i robią kawał?

— Ha!o! Leon!

Cisza. Tylko echo odpowiada.

— To nie kawał — mówi Motek. — Coś się z nimi stało.

Idziemy na poszukiwanie zaginionych.

W pewnej chwili na dnie głębokiego jaru dostrzegamy dwie postacie ludzkie. Powiadam — ludzkie — chociaż patrząc na te gramolące się, uwalane w śniegu figury, trudno było zgadnąć: ludzkie to czy niedźwiedzie?

Podchodzimy bliżej.

— Leon! — zawołałem zdumiony. — Co się z wami stało?

— Ano zagapiiliśmy się. Nie zauważyliśmy, że jedziemy krawędzią przepaści. No i Maks wywalił się. Chciałem go przytrzymać za palto, ale on ma dobrą wagę — pociągnął mnie za sobą i tak dalej koziolkowaliśmy do samego dna. Wzywamy was już dobre pół godziny!

— Ależ ja też was wołałem. Tylko echo odpowiadało.

— Dobrze, dobrze... Potem pogadamy. Pomóście nam wyleźć z tego wilczego dołu.

Ekspedycja ratunkowa zaczęła ostrożnie schodzić w Dolinę Białej Śmierci, wprost na dwa czerwone nosy, błagalnie zadarte do góry w oczekiwaniu zbawiennej linki, skręconej z trzech szalików i jednego swetra.

— Ładna historia — wycedził Motek, macając nogą oślizgły grunt. — Jeżeli tu mi się noga poślizgnie, rymnę wam na głowy.

— To ci heca!

— Nadaje się do opisu!

— Więc pošlemy do Małego Przeglądu. Jeśli chcecie, mogą napisać.

— Dam ci wtedy 15 gr. na znaczek.

— A ja ofiaruję 10 gr.

— Ode mnie dostaniecie kopertę. Szczęśliwą kopertę, słowo daję: w niej ciotka trzymała los, na który po tygodniu padła wygrana.

— Wielka wygrana?

— Taka sobie: pięć tysięcy.

— Ho, ho, nic mi o tym nie mówiłeś.

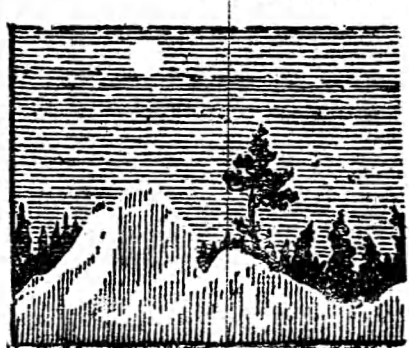
— Bo nie warto o tym mówić: starczyło cioci tylko na sukienkę.

— Na sukienkę? Pięć tysięcy?

— Groszy, mój drogi, groszy. W groszach wypadło, że wygrała pięć tysięcy...

Tak wśród przygód i śmiechu w mroźny dzień zimowy powstał ten artykuł, który wysyłamy za wspólny znaczek w szczęśliwej kopercie.

Akiwa z Wilna.



Sen o lustrzanym pokoju

Zasypałam zwykle z głową opadłą nisko na rąbek miękkiej poduszki. Rozkoszne lenistwo nie pozwalało posunąć się wyżej ku środkowi poduszki. Więc ciężka od myśli i marzeń głowa leżała góziś na brzegu poduszki, choć obojętna szyła domagała się zmiany pozycji.

Nie zamykałam oczu. Patrzyłam z zachwytem na szybę, która była ciemno - niebieska od pogodnego zimowego nieba. Zdawało mi się, że niebo, uwięzione szklaną szybą błaga mnie, bym usunęła szkło, a wtedy ono ranie do pokoju wonnym błękitnym strumieniem.

Sen przymykał ciężkie powieki, pod którymi został obraz nieba, uwięzonego szybą. Senna wyobraźnia kazała zawiesić szybę przejrzystą, jenuchną firanką. Firanka kołysała się miękkiemi cichymi ruchami i rumieniła cudowną różowością. We śnie widziałam, jak to lustro, które przed chwilą odbijało się różową tkaniną, nagle roztopiło się w srebrną mgłę. Czuję, jak wsiąkam w tę mgłę i oto już jestem w lustrzanym pokoju.

Firanka kołysze się lekko i różowieje na tle szyby, za którą ciemno - granatowe niebo płacze zimnym, księżycowym jękiem.

Jestem w lustrzanym pokoju. Pamiętasz? Marzyłaś o tym zawsze, gdy ci prawila baśni o lustrzanym świątku.

Przwtuliłam głowę do rąk babci i obie idziemy w tajemniczą głąb pokoju. Zielenią się tam ogromne filodendrony w donicach, a w środku bieleje mała srebrna łódka. A tam w głębi kwitną wielkie, białe kwiaty.

Obie idziemy wolno przez uroczyście, wonną ciszę pokoju. Oto już rozchylamy zielone zarośla. Łódka kołysze się lekko pod naszym ciężarem. I nagle...

Wiotka zjawa babci rozplywa się z wolna. Wielkie ciemno niebieskie oczy, które tak kochałam, robią się nocą. Zostają sama. Mała łódka chybocze się wolno. Zarośla szumią.

— Babciu — wołam rozpaczliwie — babciu, boję się!

Lustrzany pokój ziele pustką.

— Baabciuuuu!

Czuję, jak mnie strach chwytają za włosy, jak przenika mnie całą.

Otwieram oszalałe z lęku oczy i od razu stwierdzam, że nie ma lustrzanego pokoju. Tylko za oknem skrzy się niebo zimnym blaskiem gwiazd i księżycą. A w sercu żal, że nie można odjechać srebrzystą łódką.

Ania Gincburzanka

(Brześć).

Duże noże i przeпад

Był wieczór piątkowy. Elektryczność nagle zgasła, więc po-

żyliśmy się wcześniej niż zwykle. Ojciec uchylił okno, żeby wywietrzyć pokój na noc. Wspominaliśmy wyjazd matki, mówiliśmy o ciotkach, czy też o wujaszkach.

Zasnęłam. We śnie wołałam i krzyczałam na cały głos. Coraz głośniejsze:

— Trzymajcie ich!

A oni pokazali mi noże i mówili, żebym nie nie gadała, bo mnie zabiją. A ja jeszcze głośniejsze w krzyk, aż wszystkich obudziłam. Wtedy wszyscy zaczęli mnie budzić. Byłam im wdzięczna, że mnie przebudzili i opowiedziałam o moim śnie.

Otakowało się przy tym, że okno zostało otwarte. Ojciec zasnął i zapomniał je zamknąć. A my mieszkamy na parterze — można wleźć. Zrobiliśmy rewizję, czy ktoś nie ma. Szukaliśmy wszędzie. Nikogo nie było. Położyliśmy się do łóżek, ale zasnąć już nie mogliśmy. Zdawało nam się ciągle, że ktoś napewno kryje się w domu.

Innym razem śniło mi się, że jadę na nartach, że podziwiam wielkie czarowne góry. Im dalej jadę, tym krajobraz staje się piękniejszy. Wspinam się na szczyty, zjeżdżam w dół i nagle wpadam w przeпад.

Przychodzę po trochu do przytomności. Wołam pomocy. Nie słyszę odpowiedzi. Co ze mną będzie? Czy będę tak leżała? Czy nikt nie przyjdzie mi z pomocą, czy tak zginę?.. Zaczynam wołać na cały głos: „Ratujcie, ratujcie!”

Wtem budzę się. Jaka wielka jest moja radość, że nie leżę sama na dnie przepaści. Mam tuż przy sobie wszystkich. Ale było w tym przebudzeniu trochę smutku także, smutku, że nie jadę na nartach.

Idzia.

Sen nocy piątkowej

Wśród zabobonnych Żydów istnieje przesąd, że wszystko, co się człowiekowi śni w piątkową noc, spełni się napewno.

I właśnie w piątek śniły mi się dziwne rzeczy.

Był piękny jesienny poranek. Wskoczywszy z łóżka stanąłem przy oknie i myślałem, jakoby zrobić niespodziankę rodzicom w dniu urodzin. Przecież już niedługo grudzień, a ja jeszcze nic nie wymyśliłem.

Nagle usłyszałem głos za sobą: — Szmulek, czego tak stoisz! Czas iść do chederu.

Zły byłem, że ojciec mi przerwał rozmyślenia, ale trudno: ojca trzeba słuchać. Pobiegłem do chederu.

W chederze koleżdy zawiadomili mnie, że idziemy do parku Paderewskiego. Nadszedł rebe. W nowym chatacie, z laską w ręku wyglądał, jak sam rabin okrę-

gowy. Przywitał się z nami i powiedział:

— Słuchajcie chłopcy, idę z wami na wycieczkę pod warunkiem, że będziecie się dobrze zachowywali. Jeżeli któryś z was nie będzie się słuchał, dostanie kańczukiem.

I już (we śnie wszystko staje się od razu) byliśmy w parku. Zrobiliśmy dwa obozy: Żydów i Egipcjan. Egipcjanie mieli się schować, a Żydzi mieli ich wytapywać. Kto najwięcej Egipcjan złapie, dostanie od rebe go cukierka. Szukam Egipcjan, szukam — wtem słyszę plusk za sobą. Odwracam się, a tu mój braciszek tonie. Ludzie zaczęli ratować mojego brata, a ja stałem na brzegu i tylko się modliłem, żeby go uratowali, bo jak utonie, to mnie ojciec będzie strasznie bił.

I z tą modlitwą obudziłem się.

Nazajutrz opowiedziałem rebe mu o moim śnie. Rebe długo milczał, a ja czekałem w takim napięciu, jakby na wyrok.

Wreszcie rebe rzekł:

— Słuchaj synu. To, że twój braciszek się topił, to zły znak. Jakies nieszczęście spotka waszą rodzinę. Ale możesz nieszczęście odwrócić: módl się tylko co sobotę przez cały dzień od rana do wieczora. Po miesiącu przyjdiesz do mnie.

Co sobotę gorliwie się modliłem. Raz, gdy stałem pochylony w bóżnicy, podszedł do mnie jakiś starszy człowiek i spytał, dlaczego nie bawię się razem z kolegami, tylko się wciąż modlę. Opowiedziałem mu całą historię. Pochwalił mnie, że słucham rebe go.

— Bóg się nad tobą zlituje i odwróci nieszczęście od waszego domu.

A ja podniesiony na duchu jeszcze gorliwiej się modliłem.

Po upływie miesiąca przyszedłem do rebe go po dalsze wskazówki.

I tak samo jak przed miesiącem rebe długo milczał, w końcu zapytał:

Kiedy będą twoje urodziny?

— 6-go grudnia — odrzekłem.

— Więc słuchaj Mamy jeszcze dwa miesiące czasu. Przez ten czas musisz zebrać 2 złote i kupić mezyzę. Gdy domownicy zasiądą do wieczerzy, wówczas wezmiesz mezyzę, położysz na stole i powiesz odpowiednią modlitwę. Mezyzę dasz braciszce, żeby ją pocałował. Potem przybijesz ją na miejsce starej u progu drzwi. W ten sposób zażegnasz nieszczęście.

Robiłem wszystko, co kazał rebe, ale mimo to mama zachorowała na raka i nic nie pomogło, ani mezyza, ani modlitwa, ani rady rebe go: mama po roku umarła.

Szmulek EL

Z KRAJU

Zebranie „Związku chłopów”

W naszej szkole założyliśmy „Związek chłopów”. W środę odbyło się po lekcjach zebranie związku pod hasłem: „Niech żyje ping-pong.”

— Koledzy — powiedziałem, otwierając zebranie — spełniło się nasze marzenie: będzie w szkole kółko ping-pongowe.

— Hurraa! Niech żyje! wrzasnęli wszyscy, jakby wygrał główny los na loterii.

Wpadł do nas jak bomba nauczyciel śpiewu. Całkiem zapomnieliśmy, że w sąsiedniej klasie jest jeszcze lekcja śpiewu.

— Pały zawodowe — zahuczał pan profesor.

A gdyśmy się trochę uspokoiłi, wytłumaczył nam, że się już męczy z szóstą klasą dwa tygodnie nad jedną piosenką. Już, już mieli zaśpiewać dobrze, ale myśmy swoim krzykiem wszystko popsuli.

Zrobiło nam się przykro, zaczęliśmy go przeproszać i na ten hałas zbiegli się do klasy wszyscy nauczyciele, a twarze mieli tak groźne, że cały nasz związek schował się pod ławkę.

— Co się stało? Co tu się dzieje? — pytał pan kierownik.

Wylaził Maks z pod ławki i piszczy:

— To z wielkiej radości!
— Z jakiej radości?
— Że w naszej szkole będzie kółko ping-pongowe!

Wtedy z gromady nauczycieli wystąpił opiekun Związku, młody chłop i rozkazał krótko, cicho, bo nigdy nie krzyczy:

— Cały związek do domu!
A do nas:
— Zarząd zostaje. Proszę do kancelarii.

MOTEK z Wilna.

Sąd nad Józefem Flawiuszem

Dnia XI. 37 r. staraniem pewnej grupy młodzieży odbył się w lokalu „Ligi” sąd nad bohaterem dwóch dzieł Liona Feuchtwangera „Wojna żydowska” i „Synowie” — Józefem Flawiuszem. Sala była wypełniona publicznością po brzegi. Młodzież, biorąca udział w sądzie wywiązała się z zadania doskonale, za co została nagrodzona burzą okłasków. Najbardziej spodobały się przemówienia obrońcy i prokuratora, w szczególności obrońcy, który tę sprawę wygrał. Na uznanie zasługującą przewodniczącą sądu Niusia, która całą rozprawę kierowała bez zarzutu.

Plan sądu (apelacja) był następujący:

1. — Zagajenie przewodniczącego.
2. — Odczytanie wyroku pierwszej instancji.
3. — Motywy apelacji oskarżenia i obrony.
4. — Zeznania świadków: a) Aleksas, fabrykant szkła, przyjaciel oskarżonego. b) Gamaliel, pierwszy doktor uniwersytetu w Jabne (Palestyna). c) Tytus, cesarz Imperium rzymskiego. d) Domicjan, cesarz, następca Tytusa. e) Paulus, syn oskarżonego i Egipcjanki, Dorion. f) Justus, pisarz żydowski, przyjaciel oskarżonego. g) Fincasz, wyzwolennic grecki, sekretarz oskarżonego i wychowawca Paulusa.
5. — Zeznania świadków dodatkowych.

6. — Głosy publiczności i ekspertyza prawnohistoryczna.

7. — Przemówienia, oskarżenia i obrony.

8. — Odczytanie listu Feuchtwangera.

9. — Wyrok sądu.

Jak już wspominałam, sąd wydał wyrok uniewinniający.

Na uwagę zasługuje także fakt, że Lion Feuchtwanger, zawiadomiony uprzednio o mającym się odbyć sądzie, wystosował do tej młodzieży list. W liście tym wyraża im swoje uz-

nanie, życzy powodzenia i jednocześnie zawiadamia, że niezadługo wyjdzie trzecia część tej trylogii, w której on sam wyda wyrok na swego bohatera, Józefa Flawiusza. W końcu prosi, by zawiadomiono go o wyniku sądu, co natychmiast po wydaniu wyroku zrobiono.

Obecnie z niecierpliwością czekamy, jaki wyrok wyda na obywatela świata, Józefa Flawiusza, jego twórcę, Liona Feuchtwangera.

LUCYNA z Poznania.

Budujemy nowy gmach

Na konferencji prasowej w sanatorium Im. Medema w Miedzeszynie zebrało się dużo gości. Wszystkiemu się dziwili:

— Jak tu czysto!
— I to same dzieci utrzymują porządek!

Atmosfera serdecznej przyjaźni przenika całe życie sanatorium.

Jeden z gości postawił na konferencji bardzo ważne pytanie:

— Czy dzieci, wracające z sanatorium do wilgotnych, strasznych mieszkań, nie odczuwają o wiele ostrzej swego położenia, niż przed pobytem w sanatorium?

Pan kierownik sanatorium odpowiedział, iż wychowawcy pokazują dzieciom świat lepszy, piękniejszy i czystszy, życie pozbawione zawiści w tym przekonaniu, że do takiego życia każdy powinien dążyć i budować je.

... Pewnego razu siostra odprowadzała 6-letniego chłopczyka do mieszkania, mieszczącego się gdzieś na krańcach miasta. Chłopczyk przez całą drogę zachowywał się grzecznie, nawet bardzo tęsknił za domem, ale gdy przekroczył próg i ujrzał swych rodziców i swoje dawniejsze życie — uśmiechnął się i gorzko zapłakał.

... Pani Wasilewska odwiedziła mieszkanie jednej z wychowawek sanatorium. Podłoga składała się z kilku polama nych desek i z gliny. Po środku dziewczynka z uporem szorowała tych kilka desek.

... Jeden chłopak miał wyjechać do sanatorium. Oprócz babci żadnych bliskich nie posiadał. Babcia przed wyjazdem chciała mu coś dać na drogę, a że miała tylko siedem groszy,

dała mu pięć, a dwa sobie zatrzymała.

Pewnego razu podczas zabawy nauczyciel grał pięknie na harmonijce. Chłopiec zbliżył się do nauczyciela z wyciągniętą ręką, na której leżała moneta pięciogroszowa i gdy ten skończył grać, rzekł do niego:

— Pozwól mi trochę pograć na harmonijce, to ci dam 5 groszy.

Nie wiedział, że można coś otrzymać darmo.

... Dopiero w sanatorium dziecko dowiadywa się, że należy myć zęby szczoteczką i mięta i utrzymywać porządek.

Kierownik opowiada: — Zdarzył się wypadek, że przybyło do nas dziecko z izby, zamieszkałej przez trzy rodziny, liczące razem 24 osoby.

Nie chce się wierzyć.

Tyle tu przestrzeni, powietrza, od stacji aż do sanatorium sama pustka, przez nikogo nie zamieszkała i ta izba o kilku metrach kwadratowych, na której żyją 24 osoby!

Dla byłych wychowanków utworzono w Warszawie „Kincer-Hajm” (Dom Dziecka), gdzie spędzają całe popołudnie, odrabiają lekcje przy pomocy nauczycieli, otrzymują pożywienie, bawią się. „Kincer-Hajm” własnego lokalu jeszcze nie posiada, mieści się w szkole ludowej przy ulicy Krochmalnej 36.

Sanatorium Medema, to jedyna z nielicznych radosnych wseppek na morzu niedoli dziecka żydowskiego.

Sanatorium przystępuje teraz do budowy nowego budynku na sto łóżek. Czasu są bardzo ciężkie. Ale mimo wszystkich zbiorową pracę, wspólnym układaniem cegiełek.

AD.

„Ziemia Błogosławiona”

Długo zastanawiałem się nad tym, który film dał mi najwięcej wrażeń i doszedłem do wniosku, że najlepszym filmem, jaki znam była „Ziemia Błogosławiona”. Dlaczego?

Otóż film ten zaznał mi miłe z życiem chłopca chińskiego. Pokazał wyzyskiwanego i upośledzonego człowieka.

„Chłop chiński kupił za tanie pieniądze ziemię. Kupił aż pięć pól. Zasiał je i był bogaty. Wkrótce nadeszła susza. Z zapadniętymi oczami i popękanyimi wargami obchodził chłop swoje pola. Wszędzie i na wszystkich odbijał się brak życiodajnej wody. Nagle oczy mu zabłysły. Został skrawek ziemi — małej, jego jedynej żywicieli, skrawek, zawierający w sobie wilgoć. Rolnik chiński chwycił się ostatniej deski ratunku; przyniósł miseczkę i kubły, napojnił je wilgotną ziemią. Do domu zawłókł tylko jeden kubełek. Wszedł, a na progu siedziała żona z trupkiem dziecka na

reku. Reszta dzieci leżała, nie mając siły ruszyć się”.

W wiosce ludzie ginęli wówczas, jak muchy. Między garstką żyjących chłopów rozeszła się wieść, że Lu (główny bohater filmu) ma jądro. Jak dzięki zwierzęta rzucili się do chaty Lu i zastali... żonę jego, mieszącą wilgotną ziemię, znaną przez męża Nakoła stały dzieci chciwym wzrokiem wpatrując się w rozgotowaną ziemię.

Lu chciał sprzedać jedyne żywicieli — ziemię. Kupiec dawał zańedwie 12 sztuk srebra. Choć za to mogli jeść przez wiele tygodni, ale Lu zrozumiał że jak pieniądze wyjdą, stanie się niedziarzem. I nie sprzedał swojej ziemi.

Lu wywędrował z rodziną na południe. Za nim ciągnęło tysiąc takich, jak on żywych szkieletów ludzkich. Wreszcie dotarł do miasta. I tu utrzymywał się z zebrańiną, zastępował nawet konia zamian za niewielką opłatę. Ale Lu nie kradł. A gdy jego

dziecko ukradło, to mało go nie zabił. Kiedy Lu dzięki żonie cudem dostał pieniądze, przypomniał sobie swą żywicielkę. I z rodziną wrócił na północ. Ale zaszła w nim dziwna zmiana: tu zapragnął salonu, szat pańskich, dobrobytu. Lu stał się panem chińskim. Złienawdził żonę i dzieci. Jednakże wiedział, że ma obowiązek względem matki — ziemi.

A gdy przyszedł zarządzający polami i pokazał dużego owada, zwanego szarańczą, znaną na polu, wtedy Lu rozumiał, że klęska jest nieodwołalna. Postanowił działać. Zawrzała w nim krew chińska. I tu stał się znów chłopem.

Chmury szarańczy przylatywały na pola Lu. Lu nie chodził do szkoły, ale miał syna, który pobierał naukę w wielkim mieście. I syn ten powiedział:

— Musimy zanalic część naszych zbóż. Musimy! Ale szarańcza sobą ugasi ogień. Będziemy kopali rowy i napelniali wodą. A gdy i przez to się przedrze, będziemy ją wygniatali i deptali. Do roboty!

Chłopi, stojący nade drzwiami rozbiegli się. Część rzuciła się do zapalania zbóż, część zaczęła kopać rowy, pozostali wypełniali je wodą. Tymczasem szarańcza opadła na pola. W jakiej ilości by-

ła — tego wyobrazić sobie nie można. Wystarczy powiedzieć, że gdyby szarańczę powkładano do worków, zliczenie ich wymagałoby co najmniej 20 lat czasu.

Padły miliony owadów, nadszedły miliardy. Wreszcie szarańcza sama sobą, mimo stawianych jej przeszkód przez nie-szczęśliwego chłopca, ugasiła ogień. Natrafiła na rowy. Masy potopiły się, po ich trupach przeszły inne. Wtedy zaczęło się harowanie. Chłopi walili masy owadów łopatami. Najzacieklej pracował Lu. Pot oblewał mu twarz, ręce mdlały, on na nic nie zważał. Od czasu do czasu podnosił padającego w szarańczę człowieka.

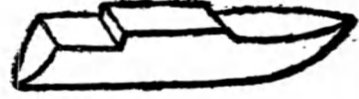
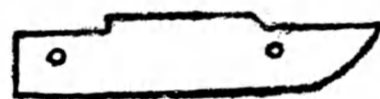
Nagle na twarzy chłopów zakwitły uśmiechy. Poczuli błogosławiony wiatr, który odgania z ziemi szarańczę.

Tak mniej więcej przedstawia się życie najniezwyklejszego na ziemi chłopca. Widzimy jego przywiązanie do ziemi, ambicję i uczciwość. Chłop chiński nie mógł być bez pracy.

Ale jeden karygodny błąd popełnił: łaknął bogactwa. Chciał przejść w sferę, gdzie pracy nie ma. Chłop wiedział jednak, że ma ziemię. A gdy błogosławionej tej ziemi przoroziło niebezpieczeństwo, pośpieszył jej na ratunek. Marek z Franciszkańskiej.

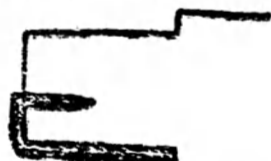
Jak zrobić samemu łyżwy

Jedną z największych przyjemności nadchodzącej zimy jest jazda na łyżwach. Nie każdy może sobie pozwolić na kupno stalowych łyżew, zresztą najmiłsze jest to, co się robi samemu, więc opiszę, jak za parę groszy można samemu zrobić łyżwy, które nadają się szczególnie do jazdy po niezbyt twardym lodzie i po ubitym śniegu.



Teraz trzeba te łyżwy podkuć drutem. Wymierzcie sznurkiem odległość od jednego końca łyżwy do drugiego, dodajcie jeszcze parę centymetrów na zagięcie i tym sznurkiem odmierzcie potrzebną długość dru-

tu. W łyżwach, w miejscu, gdzie przejdzie drut, trzeba wyrzeć rowek, w który wpuścicie drut do połowy jego grubości, końce zaostrić, zagnieć i wbijecie jak na rysunku.



Pozostaje ostatnia robota — umocowanie rzemyków. Jeżeli macie świder, wyborujcie dwa otwory w miejscach, wskazanych na pierwszym rysunku. Przez te otwory przeciągniecie rzemyki, które będąc zawiązywane, zresztą ładnie to wygląda.

(i. g.)

PO RAZ PIERWSZY

do Małego Przeglądu napisali: Ajzensztajn Rachela — Aleksandrowicz Ryszard. — Brenbaum Hela. — Blatt Hania. — Barszajn Heniek. — Cwajfus Jerzy. — Czarnobroda Maja. — Ferster Ewa — Finkelstein Ruta. — Forma Anka. — Frydman Pola. — Goldkorn Zosia. — Goldman Adam. — Guferman Nusia. — Hamburger Hanka. — Jedwab Idzia. — Jeselewicz Dawid. — Kamioner Lutek. — Kalużyńska Stefa. — Klein Rachela. — Kolberg Jenta. — Korentajer Selamita. — Lasman Dawid. — Lewin Anka. — Lichtenbaum Bronka. — Lichtensztejn Felka. — Loscirona. — Luński W. — Machlis Leona. — Pindck B. — Pozner Fereja. — Próżniak Marysia — Rafalowicz Pola. — Rozenberg Hendyk. — Rozenblum Dorca. — Szymecznyk Małka. — Unger Lea. — Wajman Nemi. — Warhaft Lili. — Wejder Judyta. — Werthajm Hania. — Wotyńska Dora.

(ZARTY)

ROZKOSZNE DZIECKO.
— Proszę o garnuszek marmalady — mówi ośmioletni Jasio, podając sprzedawcy naczynie.
Sprzedawca napelnia garnuszek, wręcza go chłopcu i pyta:
— A gdzie pieniądze?
— W garnuszku na dnie! — oświadcza Jasio, uśmiechając się słodko.

OSTROŻNY.
Ojciec szedł z synkiem przez wieś. Zatrzymał się przed wielką jabłonią, obsypaną owocami. Ojciec z ciekawością oglądał wielkie, dojrzale jabłko.
— Teraz należałoby je zebrać — oświadczył tonem znawcy.
— Ależ nie, tatuśku, nie teraz — szepnął synek. — Przecież gospodarz patrzy na nas!
Listów otrzymaliśmy z Warszawy — 55, z prowincji 51, razem — 106.

